

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 11 listopada 1916 roku.

№ 46

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARJERY.

3

Poznał ją na drugim kursie medycyny. Nosił wtedy długie blond włosy; miał śliczne zęby i uderzał cienkością swego profilu i równemi zrastającemi się brwiami; miał białą cerę, zaróżowione policzki; i to charakterystyczne wgłębienie na podbródku. Zarzucano jego urodzie, że jest trochę woskowa, z panopticum.

Był zaproszony podobnie, jak teraz, liścikiem do tychże samych Jędrzejewic, przez ciotkę (siódma woda po kisielu!) Benisję, której Irena była (po mieczu) także jakąś siódmej wody siostrzenicą.

Przyjechał był wtedy do Jędrzejewic ze świeżo zagojonemi ranami po stracie ojca, którego bardzo kochał i którego nagła brutalna śmierć rok temu uderzyła go oszalałmiąco, jak obuchem...

Stary Horski zginął w zasadzce od ręki morderczej jakiejś szajki niewykrytych bandytów, poinformowanych o zwykłym systemie dyrektora, wracającego z poczty z większą liczbą asygnacyi.

Ta niepowetowana strata bardzo hojnego ojca dla pieszczonego jedynaka tworzyła po za uczuciem ciężki etap życiowy z powodów czysto materyjalnej natury.

Po długich smutkach młodość dopominała się o swoje prawa. Ogrom szczęścia, który go w Jędrzejewicach spotkał — oszołomił rekonwalescenta odrazu, jak wódka, której oddawna już nie pił.

O! Ten stary ogród Jędrzejewicki!

Przypomina sobie tę małą rzeczulkę, wijącą się po łączce, obrosłej

tatarakami; z drugiej strony staw z niezbyt pewnym mostem, osadzony wierzbami staremi, przecina zarosły park...

O! Ten cudny park Jędrzejewicki, z grupami starodrzewia, pełen wierzb, topoli, klonów, dębów i akacyi! A jakie graby, lipy i olszyny! I ten bielejący wśród nich pałac, pamiętający panowanie Sasów, z opadłym tynkiem, z gzemsami; porużowanemi, z zapuszczonym tarasem! I te kwatery, obsadzone porzeczkami a pod parkanem krzakami malin! I te kwiaty niewyszukane! Jakież średniego gatunku bzy, malwa, rezeda, na pół dzikie goździki! I ta duża klatka domowej roboty z wiecznie wesołą wiewiórką, której nie przykrzy się kręcić wciąż to samo kółko, tak maiwnie przytwardzone do klatki!

A zdala na wzgórzu widać, jak na dłoni, kościół murowany, otoczony szeregiem starych, jak świat, lip, nie przepuszczających upalnego słońca... A tuż obok probostwo z wchodowym gankiem na słupkach, z ławeczkami, z oparkanionym ogrodem, warzywnym i fruktowym, z furtką, prowadzącą do kościółka!

I ci wieczni goście jędrzejewicki, oglądani przez przyzmat zakochanych oczu — jacyż wydawali mu się sympatyczni!

Ta niewypowiedzianie miła, pomimo swojej brzydoty, ułonna ciotka Benisia! Co za inteligencya, dobroć i takt życiowy! (No, ten ostatni zawiódł przy końcu!).

A matka jego ideału, baronowa Winter, przedwczesnie wskutek nie-szczęść zgarbiona, z kukielką siwych

warkoczyków, uwiązanych bez lustra na wyłysiałej głowie, w szafirowych okularach, z palcami pokrzywionemi reumatyzmem! Ogromnie moralną ciotkę Benisję irytowało zawsze jej zbytnie interesowanie się losem różnych pięknych kobiet i sławnych aktorek. Karcila ją też, o ile zbyt pobłażliwie w obecności córek o „takich kobietach“ wspominała.

Pamięta też stałego partnera do winta, zacnego księdza Zalewskiego. Ma go przed oczami: Podobny do karykatur Daumiera: — szpakowaty, chudy 48-letni mężczyzna o wypukłych plecach, o rękach żyłastych i czerwonych, o olbrzymich stopach. Pod pewną rubasnością i mrukowatością ukrywał gołębią tklivość — wiecznie ujmujący się za wszystkimi i protegujący. Z ciągłemi składkami na rozmaite cele, które chłoneły całe jego osobiste dochody. Przytem poeta toastowy i okolicznościowy, wruszający się do łez odczytywaniem własnych, faktycznie rzewnych wierszyków, o ile tylko słuchacza chętnego do nich usidlił!

A poczciwy, nieco krzykliwy pan Gleba! Widzi przed oczami tego przystojnego, dość młodego jeszcze z ładnym wąsem szlagona, w najlepszym tego słowa znaczeniu. W wiecznych bekieszach, czamarach, burkach i kitlach, z długimi butami! Słyszy jego tubalny głos, jaki rozlega się w polu od groźnego jeźdźcy na bułanym mierzynie! I jego spojrzenia znawcy, jakimi obrzuca każdą większą dziewczynę!

Zarówno, jak ksiądz Zalewski — Gleba był bardzo kulturalny. Jeździł często do Warszawy, gdzie spędzał wieczory nie tylko na hulankach, lecz na dobrej tragedyi, na symfonii i na operze. Bywał w pałacu sztuk pięknych, prenumerował dzienniki; interesowały go nowe książki i nowe kierunki artystyczne. Przytem grał ładnie na skrzypcach.

Horski przypomina sobie jego jasne, wesołe oczy. Rzecz prosta! Nawet na myśl mu nie przyszło odgadnąć nieznaną *jardin secret* ulomnej starej ciotki Benisi. I ona przez całe życie miała w najgłębszej tajni swego serca pozostawać pod urokiem tych wiecznie jakby chłopiących jeszcze oczu pana Gleby, w których drgały niezgaszone ogniki żakowskich figielków urwisa, z czasów, kiedy przyczepiał wystraszonemu kotom do ogona pióropusze ze strzyżonej gazety! A nauczycielem w szkole dosypywał sody do kałamarnicy. A atrament, poruszany piórem zdumionego belfra — począł musować, jak szampan z czarnego grona!

O! Te pamiętne duety pana Gleby z ciotką Benisią i zakończający każdy koncert wieczorny — czarowny śpiew Ireny!

Wspomnienia cisną się do mózgu Horskiego, jedno za drugim, jak w kinematografie.

Ach! Te Jędrzejewice, te konne wycieczki do lasu wczesnym rankiem z *nia*, w obcisłej amazonce, w męskim kapelusiku z wuałem; a obok niej na wspinającym się rumaku on, kształtny, wyprostowany, młody, pałający...

Ranek był cudny! Sosny pachniały tak upajająco, że oczadzeni tym zapachem czuli się nie sobą; zdawało im się, że mają skrzydła u ramion i że znajdują się na innej planecie, w jakimś zaczarowanym rajku z bajki! Jechali stępą tuż przy sobie, wąską drogą, zmuszeni uchylać głowy pod baldachimami drzew, które im twarze lechtały...

O! Te szmery zacisznego lasu, świergoty ptactwa i zapachy! O! Te refleksy słońca, układające się na liściach drzew, na kępach mechu i na leśnej drodze, na której złożyły się dziwnie wyolbrzymiały ich cienie!

O! Ten orzeźwiający im czola chłodek, kiedy zmęczeni długim kłusem powracali znów do kojącego ich stępą, uśmiechając się do siebie, jak zaczarowany król wicz z królową z bajki, z duszami, przepelnionymi szczęściem, jak bogowie!

To nie było zaślepienie z jego strony. Była faktycznie fenomenalnie, bez żadnych zastrzeżeń, klasycznie piękną, o skończenie harmonijnych proporcjach, o rysach niepokalanej regularności, z narysowanym po akademicku greckim nosem, z kruczemi włosami, z białą matową cerą, z cudnie wykrojonymi wiśniowemi ustami; o szafirowych długorzęsyh bajecznych oczach, których, jak poematów, nigdy dość na-

czytać się nie można i w których zawsze nową głębię się wynajduje.

Była przytem niezwykle inteligentną, wesołą, dowcipną i potrosze kokietką. A poza tem wszystkim — kochała go. A on za nią — poprostu szalał.

Znał całe jej curriculum vitae.

Na traźność określeń tych jej zalet zgadzali się wszyscy. Irena, baronówna Winter, bratanka ciotki Benisi, była w rzeczywistości zjawiskiem urody od dziecka.

I faktycznie na tej jej urodzie opierano przyszłość całej zrujnowanej rodziny. Rodzina ta w osobie matki i dwóch o kilka lat młodszych od niej sióstr Heli i Loli po utracie ostatnich resztek fortuny, zjadanej na jakichś nieudanych sklepikach z produktami gospodarskimi, to znów z ręcznymi haftami, ornatami — teraz żyła wyłącznie z gorzkich zapomóg i jeszcze bardziej gorzkiego pieczeniactwa wśród wiecznych wędrówek po rezydencyach u krewnych.

Irena, pilna niegdyś i zdolna uczenica — zarzuciła swoją inteligencję, naukę i szczylenie się stołem pięknymi oprawnymi nagród, przynoszonych z każdego popisu pensyl. Pojęła, że pod tym znakiem nie zwycięża się.

Teraz położyła całą przyszłość na jedną kartę, na swoją urodę. Zarzuciła swój dawny intelektualizm, który mężczyznom jedynie pospy. Koleżanki nie poznawały jej. Przypinała kokardy do włosów, stawiała w lustrze; kokietowała ludzi uśmiechem, krygowaniem się i każdym spojrzaniem i gestem. Robiła to wszystko jeszcze dość naiwnie.

Choć godzili się wszyscy na jej wyjątkową urodę, jednak rodzina, znajomi i przyjaciele, tak genialni w wynajdowaniu zarzutów i wad, zadcydowali, że jest trochę przerysowana od natury i przekolorowana: Oczy ma zbyt szafirowe, wargi zbyt czerwone, zęby zbyt białe, podobna

do główek Greuze'a. Przytem pierśi i biodra trochę zbyt wydające się, śmiech zbyt głośny; kokietuje naiwnie, przesadnie.

W każdym razie z takimże zewnętrzniemi warunkami, mając na karku rodzinę — dwóch dróg do wyboru niema. Bo przecież nikt nie ożeni się z biedną panną, choćby tak wyjątkowo piękną, której trzeba będzie wyposażyć siostry i utrzymać matkę. Pozostaje jedynie scena. Jedynie śpiewaczka, wędrująca po wszystkich stolicach, na oczach wszystkich miliardarów — może swoją pięknoscią zrobić karierę.

Horskiemu — rzecz prosta — nie wpadały ongi do głowy te rodzinne kalkulacje. Oszołomiony, jak w transie, żył tą cudną bajką, z której obrazy nie znikają mu z przed oczu do dnia dzisiejszego i które wertuje w tej chwili, jak precudne album, stronicę po stronicy.

Oto na dworze upał. A oni jadą łódką dla ochłody po stawie. On stoi przy wiosle; przy królownie siedzą dwie duenny; o kilka lat młodsze od niej siostry; Lola i Hela, nieciekawe podlotki, nie umywające się do niej ani pod względem urody, ani umysłu, wpatrzone w starszą siostrę z kultem duen, niewolnic, których przyszłe losy i życie leżą w rękach spadłej na ich dom czarodziejki.

Ona — królowa — wije wieńce ze zrywanych na stawie bielejących wśród tataraku lilij wodnych, nenufarów i, z mozołem zrywając je z długich łądek — zanurza w wodzie swoje cudne, białe ręce, o paznogiełkach z różowych migdałów, z których krople wody spadają na kwiaty, jak perły... A ona jedwabistemi, ubrylantowanemi rosą płatkami białych lilij — gładzi sobie policzkę i chłodzi rozpaloną, cudną twarzyczkę o długorzęsyh oczach szafirowych.

Dokoła cisza. Słychać jedynie plusk wody, poruszanej wiosłem, rechoty żab i brzęk komarów. A zachodzące słońce ozlaca cały staw, srebrzy lilie, szmaragduje tataraki, zaniebieszcza wodę. I ubarwia takim niewypowiedzianym czarem tę cudną rusalkę, tę jego dziewczynę, że wszystkie królowne w porównaniu z nią — wydają mu się żebraczkami.

A czarodziejka, jakby nie syta jeszcze zwycięstwa swych czarów, rada widzieć w nim, już nie niewolnika, lecz proch pod nogami — poczyna za namową anioła czy też szatanów nucić głosem, wydającym mu się srebrem, o dźwięku najpyszniejszego Stradivariusa.

Dalszy ciąg nastąpi.



Sprawa Katie Małeckiej.

2

Dopiero w końcu grudnia, po ukończeniu śledztwa i po doręczeniu Małeckiej kopii aktu oskarżenia, mogłem dokładnie przejrzeć akty całej sprawy.

Przedewszystkiem ku wielkiemu memu zdziwieniu odczytałem akt, sporządzony przez pom. nacz. ochrony Sizycha, o rzekomem przyznaniu się Małeckiej, iż podziela słusność zasad programowych Polskiej Partji Socjalistycznej, znanych jej dokładnie, i że aprobeuje w zupełności stosowane przez Partję metody działania w celu wyzwolenia Polski z jarzma rosyjskiego. Po udzielonych mi przez p. M. wyjaśnieniach przekonałem się, że był to falsyfikat istotnych wynurzeń oskarżonej, badanej podstępnie przez Sizycha. Skorzystał on z naiwnej szczerości badanej, nie zdającej sobie sprawy ze znaczenia „poufnej pogadanki”, jak scharakteryzował sprytny żandarm badanie oskarżonej w swoim gabinecie.

Faktycznie „pogawędka” owa miała przebieg następujący:

— Czy zna pani program Pols. Partji Socjalistycznej?

— Nie mam o nim najmniejszego pojęcia i nikt mię nigdy nie wtajemniczył w cele i metody działania tej partji.

— Mogę pani odczytać jej cele wytyczne, zaznaczając, że dąży ona do utworzenia samoistnego państwa polskiego. I cóż panj na to?

— Mniemam, że każdy naród o wysokiej kulturze i szczytnej przeszłości ma prawo do niezależności państwowej, nie może przeto stanowić wyjątku naród polski. To jest moje najszersze przekonanie.

— Partja głosi równość praw i obowiązków wszystkich stanów i walkę ze wszelkimi przywilejami.

— Takież są zasady nauki Chrystusowej.

— Z odpowiedzi mogę wnioskować, że podziela pani w głównych zarysach całkowity program partyjny. A czy wie pani, że prowodyrzy partyjni walczą terorem, skrytobójstwami, używając bomb i innych narzędzi wybuchowych? Czy aprobeuje panj tego rodzaju walkę?

— Stanowczo nie. Uważam za godziwą tylko walkę jawną, zresztą zdaniem mojem wielkie idee zwyciężają zwykle własną siłą żywotną, drogą odpowiedniej propagandy.

Te szczerze wynurzenia Małeckiej znalazły zupełnie inny wyraz i oświetlenie w perfidyjnym protokole Sizycha.

Pereat justitia — vivat ratio status!...

Znalazłem dalej w aktach protokół parokrotnych zeznań, rozbieżnych w szczegółach, opatrnościowego stałego świadka w różnych sprawach politycznych, ex-bojowca, Antoniego Sukiennika, męża zaufania ochrony, i podprokuratora Żiżina. Oskarżony o szereg zbrojstw partyjnych i przyłapany *in flagranti* w końcu 1910 r., Sukiennik w obawie wiszącej nad nim groźnej kary, zgodził się na usługi żandarmeryjnej sprawiedliwości i w charakterze świadka w wielu procesach „sypał” dziesiątki swych dawnych towarzyszków partyjnych. Dzięki też jego „wiarogodnym” zeznaniom zsyłano z wyroków Izby sądowej uwięzionych bez liku. Przeprowadzano go zwykle do sali sądowej pod strażą, jako więźnia, oczekującego w ciągu lat paru na własny wyrok; tylko jakoś ze względów niewytłómaczonych sprawa jego nie mogła wejść na wokande...

W sprawie Małeckiej zeznał on, że spotykał ją w Krakowie w 10 dni po odsłonięciu pomnika Jagielly, t. j. 17 lipca 1910 roku, w mieszkaniach konspiracyjnych członka organizacji bojowej niejakiego „Stanisława”, inżyniera Władysława Denla, który zbiegł z Syberji, tudzież w redakcyi pisma „Trybuna”, że na jednym z takich zebrań przysłuchiwał się on rozmowie Małeckiej, prowadzonej na temat partyjny z członkiem „Komitetu centralnego”, Józefem Piłsudskim.

Oczywiście, świadek „zawodowy” liczył na niemożność konfrontacyi z wymienioną osobą; i zdawał sobie dobrze sprawę, jak bardzo zeznaniem takim zasłużył się swoim nowym protektorom.

Zapytana w kwestyi tych zeznań panna M. oświadczyła mi kategorycznie, że są one najzupełniej kłamliwe, miesiące letnie bowiem do 24 sierpnia 1910 r. spędziła ona w majątku bar. Heinzel w Łagiewnikach pod Łodzią w charakterze nauczycielki języka angielskiego jego córki, nie wyjeżdżając stamtąd przez cały ten czas zupełnie.

Do poszlak powyższych dołączono jeszcze zwykle „informacje agentów ochrony” (agenturnia świadnienia), że w warszawskim mieszkaniu Małeckiej (złożonym z jednego pokoiku i kuchenki) odbywały się stale zebrania polityczne „znanych” działaczy partyjnych. Tak sformułowane zostały zarzuty przeciw pannie M., uzasadniające konstru-

kcję inkryminowanego jej artykułu o przynależności do nielegalnej partji politycznej.

Wyznaczona pierwotnie rozprawa sądowa na dzień 13-go lutego 1912 r. nie doszła do skutku z powodu niestawiennictwa paru powołanych przez obronę świadków. Sądzone ją w drugim terminie w dn. 9-go maja, *wyjątkowo* przy drzwiach otwartych na skutek zarządzenia ministeryum sprawiedliwości, oczywiście, dla przekonania opinii angielskiej, że rząd rosyjski nie ukrywa pod korcem.

Na śledztwie sądowem wszystkie przytoczone wyżej poszlaki zostały obalone najzupełniej z wyjątkiem jedynego faktu, stwierdzonego zresztą przez oskarżoną, że pośredniczyła ona w doręczeniu Filipowiczowi — „Jarzabkowi” na jego prośbę listów, o których treści nie wiedziała zupełnie. Badany w charakterze świadka Sizych co do systemu badania Małeckiej i spisane przezeń protokół o rzekomem stwierdzeniu oskarżonej świadomości partyjnego programu P. P. S. dawał wykrętne wyjaśnienia, ujawniał przytem wielkie zdenerwowanie w odpowiedziach na zapytania obrony, zwłaszcza gdy Małeczka, patrząc mu prosto w oczy, przypomniła mu jego zapytania i swoje odpowiedzi.

Na pytania moje: „Czy żądał pan przy badaniu oskarżonej stwierdzenia przez oskarżoną słowem honoru prawdziwości jej zeznań”, tudzież: „czy znaną mu jest treść 405-go artykułu obowiązującej procedury karnej, wzbraniającego władzę śledczej uciekania się do podstępnych środków wymuszania przyznania się do winy” — Sizych, cały w pasach, po chwilowym namyśle odrzekł, że nie życzy sobie dać odpowiedzi na pytania powyższe.

Plątał się również w zeznaniach swoich i świadek — aresztant Sukiennik, nie umiejąc dać należytych wyjaśnień co do skonstatowanych sprzeczności w zeznaniach na śledztwie (jak wspominałem wyżej, zupełnie rozbieżnych) i w sądzie. Widać było, że fantazyjuje on najbardziej, nie licząc się z treścią uprzednich, zaprotokółowanych swych zmyślań.

Świadkowie zresztą, bar. Heinzel i druga nauczycielka w Łagiewnikach, p. Mannówna, w swych zaprzysiężonych zeznaniach najkategoryczniej zadały kłam opowieściom Sukiennika, stwierdzając fakt pobytu Małeckiej w Łagiewnikach od dn. 24 czerwca do 25 sierpnia, zgodnie zresztą z datą wizy paszportowej na gra-

nicy pruskiej w dn. 25-go sierpnia, co stwierdzonem zostało urzędowo przez komorę celną (Małeczka wyjechała wówczas do Drezna).

To też mogłem z całą szczerością w wygłoszonej później obronie zakończyć charakterystykę świadka Sukiennika słowami: „Jest to jeden z tych pożałowania godnych ludzi, który z taką bezwzględnością i bezcienia wyrzutów sumienia zabijał bliźnich rzekomo dla celów partyjnych, jak gubi obecnie innych niewinnych oskarżonych, aby zaskarbić sobie względy tych, przed którymi się lasi umiżenie“.

Oponował temu bardzo w swem przemówieniu podpr. Żiżin, przytaczając taki wątpliwej wartości argument, że Sukiennik „wydał już władzy około stu swych dawnych towarzyszy, którzy ponieśli zasłużoną karę dzięki jego dobrej woli“..

Oskarżyciel publiczny zdawał sobie dokładnie sprawę, co zresztą sam podkreślił na początku swej mowy oskarżającej, że „teoretyczne sympatyzowanie z działalnością danej partii nie jest przestępstwem i że sympatyzowanie takie dopiero wówczas może mieć zatarg z prawem karnem, gdy przechodzi od teoryj do praktyki, t. j. do spółdziałania działalności występnej“. To też dlatego powołano do sprawy na świadka nie tylko Sukiennika, ale i kilku urzędników ochrony dla stwierdzenia, że warszawskie mieszkanie Małeczkiej było przytułkiem konspiracyjnym dla „wybitnych“ działaczy partyjnych, o czem jakoby przekonali się ci świadkowie, poddając czujnej obserwacji dom przy ul. Chopina Nr. 4 w ciągu kilku miesięcy.

Dziwnie się jednak złożyło, że żaden z czujnych owych obserwatorów nie mógł sobie przypomnieć ani jednego nazwiska z pośród tych wybitnych działaczy, a w końcu na zapytanie obrony, czy odwiedzający Małeczka nie byli to jej uczniowie i uczennice, lub też zwykły znajomi, którzy aresztowani pierwotnie, uwolnieni zostali po kilkunastodniowym pobycie w więzieniu bez żadnych konsekwencji — odpowiednich wyjaśnień sąd nie otrzymał.

* * *

Zdawałoby się, że ustalone na posiedzeniu sądowym fakty winny były dać wyniki dla Małeczkiej korzystne. A jednak oprócz trzech sędziów-polaków, dla których niewinność Małeczkiej była oczywistą i którzy dali wyraz swemu sumieniu we wniosku o jej uniewinnienie, czterej rosyjscy sędziowie koronni z prezesem Bazilewskim na czele przychyliłi się do wniosku prokuratora i skazałi oskarżoną na 4 lata katorgi. Nie ludziłem się też w czasie całego procesu co do rezultatu sprawy, widząc, jak często w przerwach przewodniczący odwiedza gabinet starszego prezesa Izby senatora Postnikowa, oczywiście, w celu zasięgnięcia wskazówek co do istoty wyroku, najbardziej pożądanego dla sfer miarodajnych.

Wyczułem, że przesłanki wyroku skazującego były dwojakie: 1^o należało przekonać angielskie sfery rządowe i opinię publiczną, że w Rosyi nie stosuje się surowego środka prewencyjnego, t. j. więzienie bezzasadne względem oskarżonych i 2^o dać do zrozumienia członkom partii

nielegalnych, że ich apostaci, w rodzaju Sukiennika, zasługują na zupełne zaufanie tak rosyjskich działaczy administracyjnych, jak i sądu.

Pierwszy jednak cel, sądząc z artykułów prasy angielskiej z powodu wyroku, bynajmniej nie został osiągnięty...

Nawet lord Edward Grey w rozmowie z p. Morrellem nie miał swego zdumienia z powodu wyroku, wypowiedziawszy się obrazowo w sposób tak dosadny:

„I have never seen such a thing, there is not sufficient evidence to hang a dog upon“ (Nie widziałem nigdy nic podobnego, — wszak tego rodzaju dowody nie wystarczałyby na powieszenie psa). To *bon mot* premiera angielskiego w parę dni po rozmowie z w. w. członkiem parlamentu obiegało całą prasę londyńską.

* * *

Jak wiadomo Małeczka, na skutek podania, wniesionego do cesarza, a zredagowanego w formie skargi na funkcjonariuszów ochrony i żandarmerji z pułkownikiem Sizychem na czele, którzy, łącznie ze swym mężem zaufania Sukiennikiem, nadali tendencyjny kierunek sprawie, po miesięcznym, powtórnym uwięzieniu została ulaskawiona.

Stało się więc zadość idei... sprawiedliwości z jednej strony, a z drugiej okazano gest, jak bardzo cenil się utrzymanie dobrych stosunków angielsko-rosyjskich.

Donioślejsze cele osiąga się zawsze kosztem jakichś ofiar...

L. P.

JULIA DICKSTEINÓWNA.

BENEDYKT HERTZ.

Dzisiaj.

*W wykołysanym słońcem Oceanie
Krwawo się koral w raf płacze ognia,
Żeglarz, co fali błękitami pływa,
Den nie zna, w słońca zapatrzon przystanie.*

*Polskiej katuszy bezgłośnie wołanie
Darmo się w orlich lotów poszum zrywa,
Nie wiedzą ludy, jak broczy krew żywa:
Płaszcz piekieł władcy ómą zaparł otchłanie.*

*Aż wtem — w Rakszasów ziemioburcze święto
Przewał móż, rycząc, stanął na przewale,
Świat drgnął. — Pod niebios kulą rozpęknięta.*

*W gromów tentencie, w ślapych wiejuga szale
Fala na brzegi, jak mściwe memento,
Wyrzuca skrzące polskiej krwi korale.*

Tylko...

*Czemu się myśli nasze przenikać nie mogą?
Czemu uczuć twych tajemie kryją skąpe słowa?
Czemu się treść twej duszy wciąż przedemną chowa
W cień milczenia i serce me napelnia trwoga?...*

*Mów, mów wszystko, co czujesz! Błagam nadaremno:
Czyż można spętać mową każde serca drgnienie?
Chcę, byś ze mną plakała i śmiała się ze mną;
Chcę, by jeden z serc płomień bił — nie dwa płomienie...*

*Uśmiechnęłaś się, luba?... Mów prędko, co znaczy
Ten uśmiech? Mów, mów! Jakto? Jużes zapomniła?
Wszak może mi być źródłem szczęścia lub rozpacz!..*

*Przypomnij sobie, droga! To było przed chwilką,
Gdym mówił, że... Ach, czemu patrzysz oniemiała?
Nic?... Drobnostka—powiadasz?... Janek przeszedł tylko...*

Iwan syn Iwana do Akakija syna Akakija.

Iwan syn Iwana Muchołapkin (przed ewakuacją nazywał się pono inaczej) stęsknił się już finalnie za swym przyjacielem, Akakijem synem Akakija Mnogodzielskim (Bóg wie, gdzie się w tej chwili znajduje!), więc postanawia napisać do niego obszerną epistołę. Coprawda, nie jedną już zaczynał i nawet napisał, ale nie miał dotąd okazji ani możliwości żadnej z nich wysłać. Ale były to epistoły smutne, pełne „toski” i „unywanja”. Teraz, od pewnego czasu lżej się Iwanowi zrobiło na sercu, radby więc tym nowym stanem duszy „od czystego serca” podzielić się z przyjacielem Akakijem. Siada więc „za stół”, bierze „list” i pisze „pismo” do „milego druga”... „Bumaga” jeszcze „kazioanna”, aż przyjemnie wieść piórem po papierze...

Niedokończona epistoła brzmi, jak następuje:

„Lubieżny Akakiju!

„Opuść ty mnie, drugu, że to ot pismo (pierwszego ani drugiego wiem, że nie dostałeś) pisać będę do ciebie nie ze wszystkimi już na ruskim języku, ani nie ze wszystkimi na polskim, ale tak ot, na połowę tak i na połowę tak, co się w ichnim warszawskim języku nazywa nie po polsku a po „zapolsku”.

Pisma od ciebie dotąd żadnego ja nie dostał, ale wiem, że się w każdym pytasz, jak ja tu czas przewodzę? Bo i co to jest życie, ech, bracie!, co jest wszystko na świecie, czort bierz!, jak nie przewodzenie czasu?!... Ty mi powiedz, miły drugu i przyjacielu serdeczny, co to jest wojna? nu, wojna? wojna?! napluć mi na nią, na tę wojnę!... A zresztą, to także przewodzenie czasu, nie gorsze ani nie lepsze od innego!... Och, Akakiju, Akakiju!... Ostatni list kazonnej bumagi Wiadomstwa Wewnętrznych Dziej zapisuję dla ciebie, drugu serdeczny, ale duszy ruskiej jeszcze nie pogubiłem, choć więcej arkuszy, klnę się Bogiem, już nie znajdę. Ale dusza u mnie jest, jest! Dzieło nie w papierze, a w sercu! braciuzku mój rodny! A u mnie serce jest, dusza jest, i rumeczka za bułetem też się znajdzie, choć bardzo drogo. No, wypijemy! Jeszcze jednego! Bóg trójce lubi!...

Czort bierz, w ichniej Warszawie sławnie się żyje! Przez parę miesięcy trzeba było wstawać godziną wcześniej, ale teraz wstaje się już godziną później. Zakurzysz cygarko bez banderoli i wychodzisz na ulicę. W Aleję 20-go apryla naprzykład (po ichniemu 3-go maja). Rzucisz z mostu wgląd na dół, usłyszysz rodny język, swoją papacchę, swojego popa pozdrowisz... Radośnie na duszy się robi. Jest za co — idziesz i kupujesz sobie los austrijski, albo węgierski. Holandzkiego niema, a jeśliby był, też kupiłbyś sobie.

Bez pieniędzy jesteś, tak idziesz sobie po ławkach i oglądasz: „giurtle” kawkazkie, szaszki, karteczki z rodnem widokami, sobór warszawski, jeszcze raz sobór, pierwszą gimnazję, jeszcze raz pierwszą gimnazję, i jeszcze raz gimnazję — wsiudu: sobór na Sakońskim Pla-

cu i pierwszą gimnazję rzędem z Kopernikiem! Strach, jakie to cudne i rozkraszone na karteczkach! Powiadają, że już więcej, jak dwudziestu kupców w Warszawie nażyło majątek na soburze i na gimnazyi. Na karteczkach nażył. — a my co?! Ech, Akakiju Akakijewiczu, Prawdziwy sobór my mieli, prawdziwą gimnazję, rozkraszaliśmy i jedno i drugie, i, — nie nażyliśmy! To już chyba wina wyższego naczałstwa, niż nasza...

Sława Bogu, rodny drugu, dni teraz krótkie, to i skoro przechodzą. I Bóg z nimi! Nie powierzysz, jak ja się teraz rozmiłował w porze wieczorne! Ona w Warszawie dla ruskiego człowieka najprzyjemniejsza! Najmiej po duszy się przychodzi! Tfu, nie lubił ja nigdy, Akakiju Akakijewiczu, chodźci po teatrach, za to teraz ja pierwszy teatral i meloman w Warszawie! Nie miał ja dawniej wyobrażenia, jacy sławni tutaj artyści, jak mówią na rosyjskim języku! W jeden czas my tu mieli w Sakońskim sadzie teatr (przejazdem mówią), w którym krągły miesiąc stawali rosyjska

piesę (z życia syberyaków) i teatr każdy wieczór był bitkiem nabity! Do „Dramatycznego” pięć razy ja już schodził zobaczyć, jak praporszczyk bije szkło w restauranie! I jeszcze pójde.

Bracie serdeczny, pomniesz, jak my to dawniej z tobą „strach, jak nienawidzili żandarmów! A policyantów? Tfu, i spojrzeć na nich nie chcia! A teraz choć dusza won! Słozy z oczów tak i same płyną... Siedzisz sobie w pierwszych rzędach, teatr, jak wokzał w Pietrogradzie, taki duży, naokoło ciebie sztykarne damy, sztatscy w monoklach, artystokraty, muzyka spełnia romanse, a na ekranie tak i pojawiają się: studenty, polityczni, żandarmy, szpiony, żołdacy... Publika w nasłodzeniu! Ech, mateczko moja, Akakiju Akakijewiczu!... W inny raz zaszedł ja do drugiego teatru. Póci co sztatscy chodzili po scenie, pl, bili się, mordowali, wiadomo, także ruska piesa, publika słucha seryoznie i nic, ale jak wszedł na scenę grodowy — Bóg ty mój! — jaka szumna owacya!...

Plaskają rękami, podnoszą kwiaty... Przeleść, jaki czudny gorod ta Warszawa!...

B. Gorceyński.

Wiktorya Cross.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

Najwyższe prawo.

12

POWIEŚĆ.

Minęło kilka dni i Dora, rozkoszując się szczęściem odzyskanego życia, uwolniona od ciężaru fizycznych cierpień i moralnej troski, wracała do zdrowia tak szybko, jak szybko wyrasta młoda trawka, gdy przejdzie noga, która ją zdeptała.

Azycy w pożyciu domowym odznaczają się o wiele większą skłonnością do cichych, rodzinnych uciech, niż rozmiłowani w sportach i klubowych rozrywkach anglicy.

Rekonwalescencya Dory w tej dusznej, glinianej lepiance mniej jej się dawała we znaki, niż podobna epoka niejednej żonie Sahiba, Hamakhana po skończeniu dziennej pracy nie czekało ani polowanie, ani strzelanie do gołębi, ani karty. Jemu natomiast było w tej ciasnej izdebce, w której leżała Dora, karmiąc dziecinę i mając jedną rękę zawsze swobodną, by mu ją na szyję zarzucić.

I gdy tak siadł przy niej na ziemi, opierając głowę o krawędź tapczana, wydawał jej się czasem jakby piękną, obłaskawioną panterą, która skradała się wdzięcznie w oczekiwaniu pieszczotliwego dotknięcia drobnej, białej ręki.

Gdzieś w dali szumiało gwarne życie bazaru, ale jemu było tak dobrze u boku tej białej kobiety, tak nigdy nie mógł nasycić się pięknnością

jej śnieżnej twarzy, tak niczego więcej nie potrzebował, jak przymknąć oczy i marzyć współsennie pod tą umiłowaną pieszczotą atlasowej dłoni.

To było czemś tak zgołą innem, niż roztargniony pocałunek, jakim anglik obdarza żonę, spiesząc się na polowanie, lub do klubu, ze słowami: „Jakże się dziś czujesz, moja droga? Dobrze? No, to do widzenia. Pędzę do Izby. Mamy właśnie obrady nad budżetem”.

— Och! nie! nie! — myślała Dora, przywołując sobie na pamięć tę pospolite obrazkę domowych, angielskich sentymentów, poczem tuliła się do Hamakhana i szeptała:

— O! Hama! jaka ja wdzięczna losowi, że cię poznała i poszła za tobą. Powiedz mi, czy jest szczęśliwsza nade mnie kobieta w całej Azji?

ROZDZIAŁ V.

Winnica Nabotha.

U końca długiej, wąskiej, krętej uliczki, wijącej się pomiędzy kramami bazaru w Brishangar, znajduje się krajowe więzienie, ponure, ciemne i ohydnie cuchnące. Tu bowiem wyrzucają się wszystkie śmiecie i odpadki bazarowe; tu nawet w najgo-

reńszych miesiącach nie wysychają kałuże gęstej, lepkiej wody, pokryte zielonąwą, ilowatą rzęsą, od których nawet spragnione psy paryasów odwracają się ze wstrętem.

Dokoła tych trzęsawisk leżą duże, białe, chybottliwe kamienie, po których stąpając, dochodzi się do niskich drzwi w ślepych murze, wiodące po dwóch w ziemi drążonych stopniach do niskiej, ciemnej izby. Wyściełane ławki stoją tu pod ścianami; na podłodze leżą maty i deski, a u sufitu kopczą wiszące lampy. Tu schodzą się krajowcy, by palić opium i tureckie cygaretki, pić wszelakie trunki, poczynawszy od czystej wódki, a kończąc na lemoniadzie.

Pewnego popołudnia czterech bezbożnych wyznawców Proroka zebrało się w tej zakazanej norze i siedząc na ziemi z podwinętymi nogami bez turbanów, wiodło cyniczną gawędę.

Jednym z nich był wyplatacz mat Haider, drugim Nullo, krajowiec, którego Hamakhan kiedyś poturbował w bazarze; pozostali dwaj byli ich przyjaciółmi i rówieśnikami.

— Mówię wam, że gdyby tylko Mirza Siryan ją zobaczył, nie spojczyłby, dopóki by jej nie posiadł — mówią Nullo, błyskając dziko oczyma.

— Siryanowi byłoby tak, jak każdemu innemu, gdyby tam tylko spróbował swój nos wścibić — zauważył Haider, przypomniawszy sobie ten wieczór, kiedy Dora tańczyła przed nimi.

Nullo rzucił mu szyderskie spojrzenie.

— Czy myślisz, że Siryan nie potrafiłby dać sobie rady jakkolwiek? No, gdy jego sługa przyjdzie to jutro rano, powiem mu coś, co Siryanowi spędzi sen z oczu. A wtedy zobaczymy, jak długo Hamakhan będzie się jeszcze cieszył swoim biało-różowym skarbem!

I Nullo zaśmiał się ponownie.

Czekał on z igrasą azyatycką cierpliwością przez cały długi miesiąc i dwa dni, by się pomścić na Hamakhanie, a teraz gdy Dora odzyskała już zdrowie i urodę, uznał, że pora stosowna nadeszła.

On sam, biedny wyplatacz mat, dobrze znany na bazarze, nie mógł nic przedsięwziąć na własną rękę bez narażenia własnej skóry, o którą dbał równie dobrze, jak każdy europejczyk.

Nie; inny posłuży mu za ofiarne- go kozła i narazi *swoją* skórę, a wtedy Hamakhan znajdzie się w rękach anglików ze temy więziennemj ścianami, gdzie nikt go szukać nie będzie.

Nullo zaciągnął się nargilem i spojrzał tryumfująco na Haidera.

Ten siedział milcząco i zamyślony. Zdradzał towarzysza i czuł całą niegodziwość postępku, a jednak zazdrość szeptala mu, aby się nie cofał. Od owego wieczora, kiedy Dora w porywie obrażonej godności i wstydu odrzuciła jego nierozważną rękę, zbudziło się w nim głuche pożądanie tej kobiety i nienawiść względem Hamakhana. Jedyne obawa słusznej kary ze strony tamtego wstrzymywała go dotąd od szukania sposobności upokorzenia dumnej angielski i nasyceń swęj żądzy prze- mocą albo podstępem.

A teraz nastęrczała się taka sposobność, aby ją upokorzyć przynajmniej i hanbę i rozpacz na Hamakhana ściągnąć. To napełniało go radością; jednakże nie mógł się zdecydować. W milczeniu owiązał głowę turbanem, strząsnął odzież i skierował się ku drzwiom.

Gdy pochylił się, aby wzuć sandały, Nullo zerwał się z miejsca, poskoczył ku niemu i objąwszy go za szyję, szepnął:

— Ty trzymasz z nami, nieprawdaż? Nie kochasz Hany?

Haider spojrzał z podełba.

— Nienawidzę go — odrzekł.

— Nie popsujesz nam szyków?

— Nie — odparł Haider krótko i wyszedł.

Zwolna mijał senny bazar, drzemiący w południowym upale. Ruchu nie było żadnego, tylko nagie dzieci tarzały się w pyłe ulicznym, a parso- wie kiwali się, siedząc w otwartych kramach i nie zważając na muchy, brzęczące nad towarami.

Wpół drogi Haider zobaczył gromadkę wyplataczy skupionych dokoła sklepiku, w którym dwóch chłop- ców siedząc na ziemi wyrabiało wachlarze z palmowych liści. Haider przyłączył się do towarzyszy.

— Gdzie dom Mirzy Siryana? — zapytał.

— Dom Siryana? Spójrz tu, a zobaczysz go.

I mówiący te słowa, pociągnął Haidera za rękaw i wskazał mu krętą drożynę, która dzieląc dwa domy, wiodła w dal ku pustyni. Tam na tle olbrzymiej płachty błyszczącego piasku widać było biały mur, ocieniony dwoma palmkami, a za tym murem trzy wysokie wieże, odcinające się ostro na szafirowych przestworzach.

Haider patrzył czas jakiś w milczeniu.

— Musi być bogaty — zauważył. Tamten skinął głową.

— Bogaty w rupije, a co za tem idzie, w kobiety — rzekł śmiejąc się. — Czy masz jaką ładną niewolnicę na sprzedaż? Tam ci ją z pewnością kupią i dobrze zapłacą.

Z temi słowy oparł się o ścianę kramiku, chroniąc się przed dopiekającym straszliwie słońcem.

Był to piękny chłopiec, prawdziwy syn Peshawuru, o błyszczących, jak żuźle, oczach, nieożeniony i wciąż o kobietach myślący.

— Siryan zapłaci co chcesz za ładną, nową twarz — mówił dalej — poprostu szaleje za kobietami; powiadają, że w tych dwóch wieżach tylko jego żony mieszkają, a w trzeciej on sam. Chciałbym się tam znaleźć.

Haider skinął głową w milczeniu i poszedł dalej. Ten młodzieniaszek w dziwnie nieprzyjemny sposób przypomniiał mu Hamakhana.

W trzy dni potem Dora oczekiwała powrotu Hamakhana, jak zwykle, o zachodzie słońca.

Była już zdrową i mogła siedzieć we frontowej części chaty i patrzeć na szeroki, rozprażony od upału gościniec. Siedziała więc oparta plecami o ścianę z dzieckiem na kolanach. Dziecko było tłusciutkie, bardzo ciemne, o błyszczącej, aksamitnej skórze ojca, spało prawie ciągle i Dora nie miała z niem kłopotu. Rzecz było można, że wraz z obfitem mlekiem płynącym z białych piersi matka ssalo jej pogodę, spokój i radość życia.

Dora wypiękniała jeszcze i rozwinęła się po chorobie. W atmosferze szczęścia i młodości ciało jej zakwitło, jak ciepłarniana roślina.

Teraz siedząc, karmiąc dziecko i spoglądając na gościniec nawpół sennemj oczyma, uśmiechnęła się do własnych myśli. Nagle oczy jej roz- błysły, a uśmiech zamienił się w perlistą gamę śmiechu. Hamakhan wszedł do chaty. Pochylił się nad Dorą i przyciągnął ją do siebie tak gwałtownie, że zbudzone dziecko zaczęło płakać.

Dora nie zwróciła nawet na to uwagi; obu rękoma objęła połyskliwą szyję męża, poddając swą uśmiechniętą, świeżą jak róża twarzyczkę deszczowi namiętnych pocałunków męża. Dziecko, widząc, że się nikt o nie nie troszczy, zsunęło się z kolan matki na matę i włożywszy paluszek w usteczka, leżało spokojnie, patrząc uroczyście w otwór dachu.

— Jesteś w jakimś wyjątkowo wesolem usposobieniu. Hama — rzekła Dora, skoro tylko pozwolił jej przemówić, wciąż obejmując go za szyję i patrząc na niego zapłonioną, z uśmiechem na pąsowych, wilgotnych ustach. — Cóż tam słyszał dzisiaj na bazarze?

— Nic osobliwego — odpowiedział Hamakhan — tylko ma być wielką „raks“ (bal) i ja jestem zaproszony. Więc się cieszę.

— *Raks? Gdzie? W bungli jakiego sahiba?*

— Nie; u jednego bogacza Mirzy Siryana. On mieszka w tym wielkim domu o trzech wieżach tuż za bazarem. Pokazywałem ci go. Otóż on wydaje wielki bal dla mużmanów i mnie także zaprosił.

I Hamakhan zaśmiał się tym świeżym, młodzieńczym śmiechem, który tak radował serce Dory.

— Nie rozumiem tego — zauważyła po chwili, bawiąc się machinalnie guzikiem spinającym fałdy obojczy na ramieniu męża. — Jakże Mirza Siryan może zapraszać, skoro cię nie zna?

— Tego nie wiem — odparł Hamakhan niedbale. — Wracając do domu, spotkałem na gościńcu jego sługę i on mi powiedział, że Siryan wydaje wielką zabawę i że jeżeli chce, to mi da taki bilet, za którym mnie wpuszczą. Więc powiedziałem, że dobrze, i wziąłem tę kartkę. O! patrz! — I Hamakhan pokazał Dorze kawałek żółtego papieru.

— A ja mogę pójść także? — zapytała Dora.

— O! nie. To będzie zabawa — powtórzył Hamakhan w rodzaju wystarczającego objaśnienia.

— Na Zachodzie wszystkie kobiety chodzą wszędzie — zauważyła Dora.

— Ha! ale na Wschodzie to nie przyjęte — odparł Hamakhan z prostotą.

Dora uśmiechnęła się i pomyślała, że niedalekim już jest czas, kiedy ona wprowadzi go na wykwintne salony Zachodu.

— Mniejsza z tem — rzekła — to mi tylko dziwne, że Siryan cię zaprasza. A może to tylko pomysł jego sługi? Kiedyż to się odbędzie?

— Za trzy dni. Tamten powiada, że to będzie wielka, wielka zabawa i że muszę się pięknie ustroić.

— Z pewnością, mój najdroższy — odrzekła Dora, głaszcząc jego śliczną głowę spoczywającą teraz na jej ramieniu. — Jeżeli chcesz, możemy sprzedać te dwa perłowe spiczki, które mi jeszcze pozostały.

Hamakhan spojrział na nią z gniewnym błyskiem w oczach.

— Nie wezmę twoich pereł — rzekł chmurnie. — Ty się w nie ubieraj. Nie; powiedziałem słudze, że nie mam się w co wystroić, a on mi dał to, żebym sobie kupił, co mi będzie potrzeba.

I z tem słowy Hamakhan pokazał Dorze trzy dziesięcio rupijowe banknoty.

Dora zaniepokoiła się. Tknęła ją jakieś niedobre przeczucie. Na co obecność Hamakhana może być po-

trzebną temu muzulmańskiemu bogaczowi?

— Ale taka grzeczność i szczerłość musi mieć jakąś przyczynę? — rzekła. — Cóżby to być mogło?

— Nie wiem — odparł Hamakhan, śmiejąc się. Zobaczę. Czego się tak zatroskałaś, mój klejnocie? — dodał, spoglądając na nią ufinym, promiennym wzrokiem.

— O ciebie — rzekła Dora szczerze. — O ciebie, mój jedyny. Czy Siryan widział cię kiedy?

— Nigdy; ani ja jego — odparł Hamakhan, jeszcze bardziej rozweselony jej niepokojem, który przypisywał zazdrości. — W sercu mówisz: „Nie chodź”. Powiedz to ustami, a zostanie.

— Nie; och! nie! — rzekła Dora, obejmując ramieniem jego gibki stan. — Ty wiesz, jak ja lubię, żebys się zabawiał. Tylko, proszę cię, mój ukochany, miej się na baczności, gdy tam będziesz.

W oznaczony dzień o drugiej po południu Hamakhan przywdziewał odświętne szaty, które wraz z Dorą wybrał i kupił w krajowych sklepach w bazarze. Miał już na sobie luźne, żółte szarawary, pięknego miejscowego wyrobu, będącego czemś pośrednim pomiędzy jedwabiem a bawełną, i takiż kaftan o przezroczyстым, muślinowym przodzie, usianym kolorowemi, szklanemi świecidelkami. W rękę trzymał kwadratową żuwankę z purpurowego jedwabiu, bogato zahaftowaną złotem, i potrząsał nią, aby tem bardziej błyszczała w słońcu, którego światło wpadało do wnętrza przez otwór w chacie.

Dora, siedząc na tapczanie, nie mogła oderwać oczu od tej przepysznej, olśniewającej, nawskroś orientalnej urody. Dzieckiem jeszcze będąc, zaczytywała się z zachwytem w pisma Herodiana i o tem, jak Helio-gabal tańczył przed bogiem-słońcem na oczach całego wojska, które stało jak urzeczone jego pięknnością. Teraz przypomniał jej się ten wymarzony Helio-gabal. On, jej ukochany, był równie świetny, równie urodziwy, równie zachwycający młodością i wdziękiem, tylko w dodatku pracował ciężko i uczeniwi i wiódł dumnie i nieskazitelne życie.

Hamakhan włożył wreszcie żuwankę i zbliżył się do Dory, by mu związała purpurowy, jedwabny pas, który trzymała w rękach.

Dora uklękała; udrapowała zręcznie fałdy lśniące materji dokoła gibkich bioder i spięła węzeł jedną ze swych perłowych broszek, poczem, nie zmieniając postawy, podniosła do ust obie ręce ukochanego i ucałowała je, patrząc mu jednocześnie w oczy.

— Przysięgnij mi, że cokolwiek się tam stanie, będziesz myślał o mnie i pamiętał o tem, jak bardzo cię kocham.

Hamakhan spojrział wdzięcznie w te śliczne, błękitne, saksońskie oczy i z uśmiechem spełnił żądanie Dory.

— Ale to niepotrzebne — dodał — bo ja zawsze myślę o tobie, gdy cię nie widzę.

Dora wstała z klęczek; on zaś owiązał sobie głowę pięknym, purpurowym turbanem.

— Wszystko się skończy o dziewiątej — rzekł — na wpół do dziesiątej będę z powrotem. To i tak późno i będzie mi już tęskno do ciebie, mój skarbie.

Ucałował Dorę i wyszedł. Lekko i sprężysto stąpił po osłonecznionym gościńcu, migocąc haftami żuwanki i purpurą turbana, jak różnobarwny motyl. Mijając chatę Haidera, wstąpił do środka i zastał właściciela i dwóch innych wypłacaczy mat rozciągniętych na ziemi i drzemających.

— Przypatrzcie mi się — rzekł ze śmiechem, rozkładając ręce.

Tamci dwaj spojrzeli zaspaniem oczyma, ale Haider zerwał się na równe nogi.

— Idziesz do Siryana? — zapytał.

Hamakhan skinął potakująco głową i zaśmiał się znowu.

W sercu Haidera zbudził się jakiś szlachetny poryw. Nie miał pojęcia, jakie były zamiary Siryana i jakiego rodzaju zasadzkę przygotował on dla Hamakhana, lecz nie wątpił, że bez zasadzki się nie obejdzie, i teraz gdy zobaczył, że Hamakhan idzie tam tak uśmiechnięty i radośnie, zdjął go żal. Zrobiło mu się przykro, że go nie ostrzegł wcześniej. Położył więc rękę na ramieniu Hamakhana i szepnął mu do ucha:

— Jabym ci radził nie chodzić tam.

Hamakhan spojrział na niego bystro i roześmiał się.

— Zazdrość mówi przez ciebie, Haiderze. O! tak, tyś mi zawsze zazdrościł. Nie zaproszono cię i dlatego mówisz: nie chodź.

Odsunął się od Haidera i dodał:

— Dlaczego miałbym nie iść?

Twarz Haidera sposepniała.

„Zazdrość”. Wyraz ten dotknął go do żywego. Umilkł. Nie mógł przecież powtórzyć wszystkiego, co słyszał, co wiedział, co podejrzewał; zresztą, gdyby to nawet uczynił, Hamakhan powiedziałby, że zazdrość przez niego mówi.

— Więc idź — wybuchnął z uniesieniem. — Niech cię szatan po-

rwie! — I rzucił się znów na podłogę twarzą do ściany.

Hamakhan zastanowił się, ale wnet wzruszył ramionami.

— Haider był zawsze zazdrośny — pomyślał i udał się w dalszą drogę.

Gościniec wglądał, jak wstęga roztopionego złota. Pathańczyk silny i rzeźki szedł pod tą ulewą żarów szybko i elastycznie, jakgdyby nie odczuwając jej wcale. Tu i owdzie leżący pod skąpym cieniem rzadkich przydrożnych drzew poganiacze wólów podnosili leniwie głowy i mrużąc oczy, spoglądał na tę świętą postać, rozmigotaną w słonecznych blaskach złocistemi haftami; żuawki; jakiś angielski urzędnik, który przypadkiem miał interes w tej krajowej dzielnicy i jechał powozem, popatrzył na Hamakhana ze zdziwieniem przez zakopcone okulary, jakimi obwarował swoje oczy przeciw działaniu indyjskiego słońca.

Hamakhan szedł uśmiechnięty i spokojny. Był młody, był silny, jego orli wzrok obejmował dalekie horyzonty pustyni; gdyby się okazała potrzeba, byłby mógł zająć w ten sposób aż do Peshawuru, nie odczuwając zmęczenia. Umysł miał jasny, usta świeże; w żyłach krążyła mu zdrowa, młodzieńcza krew, nie zepsuta pićm, paleniem ani żadnymi nadużyciami.

Po upływie pół godziny doszedł do miejsca, gdzie gościniec skręcał w bok wązkim przesmykiem pomiędzy domami, a minąwszy tę przestrzeń, znalazł się na błyszczących, nagich piaskach pustyni i ujrzał w dali białe wieże i biały mur rezydencji Siryana, ostro uwypuklający się na nieskażonym błękitnie nieba.

Bukiety pierzastych palm omwily o rozkosznie chłodnych ogrodach, otaczających tę piąską siedzibę. Hamakhan przyspieszył kroku na ten widok. Miał on czysto orientalny kult dla cienistych, cichych zadrzewień.

Doszedłszy do głównej bramy, zastał ją otwartą i nie budząc drzemącego portyera, wszedł do środka.

Dalszy ciąg nastąpi.



Życie i śmierć Romualda Traugutta.

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze wydało w celach popularyzacyjnych interesująco napisaną broszurę p. t. „Życie i śmierć Romualda Traugutta” pióra p. Feliksa Stawowskiego. W broszurze tej znajdujemy wszystkie fakty, dotyczące biografii Traugutta, jakie zanotował Maryan Dubiecki. Wzruszający jest wyjątek z listu Traugutta do Karskiego w sprawie jego małżeństwa. Píše dyktator: „Czy ludzie pojmą, jak się kochać powinni — nie wiem. Bogu tylko wiadomo, ale temu nikt nie zaprzeczy, że to jedyny środek do osiągnięcia szczęścia zarówno dla pojedynczych ludzi, jak i dla całych narodów i dla ludzkości całej” (Str. 7). Berg wystawia takie świadectwo Trauguttowi: Był to „poważny, milezący i pilnie spełniający swoje obowiązki oficer, unikał wszelkich hałaśliwych towarzystw, a każdą wolną chwilę poświęcał rodzinie i dalszemu kształceniu się”. Takie jest zdanie wroga. Zdanie to jest najlepszym wskaźnikiem, jaką cześć wzbudzić umiał nawet w swoich oprawcach. Z racji tej woła też p. Stawowski: „Bardowie polscy — zaśpiewajcie hymn chwały bohaterowi 63 roku!”

Przyczyny wojny europejskiej

Znany dziennikarz i literat, p. Jan Kleczyński, napisał bardzo pożyteczną i przystępną broszurę p. t. „Przyczyny wojny europejskiej”. Wyjaśnia on, że nie należy pytać „kto wywołał wojnę”, lecz raczej zastanowić się „dlaczego wojna wybuchła”. P. Kleczyński daje przytem historyczną genezę państw i zagadnień politycznych, jakie wytworzyły się wskutek współzawodnictwa mocarstw. Wskazuje też na czynniki natury komunikacyjnej, wynalazczej, handlowej, przemysłowej i politycznej. Przypuszcza też autor, że „w przyszłości w Europie wojny wkrótce będą musiały się stać przytykiem”. I sądzi, że nastąpi federacja narodów czy państw w jeden olbrzymi organizm polityczny Europy. A wtedy „zapewne toczyć będzie wojny w obronie swej cywilizacji z innymi częściami świata”. Broszura p. Kleczyńskiego jest interesująca. Wydało ją Tow. „Czytaj”.

Słówka

„Słówka” znanego humorysty krakowskiego, świetnego tłumacza Molière, Boy'a zjawily się znów w wydaniu nowem, pomnożonem. Wróżyły im wprawdzie różne pesymistyczne głosy żywoi krótki, gdyż większość tych piosenek powstawała odręcznie k'woli uweselenia bywalców kabaretowych, ale przewidywania te nie sprawdziły się zupełnie. Piosenka Boy'a bawi dziś, jak bawiła w chwili swego powstania. Nawet te „aktualne” na tematy specjalnie krakowskie też śmieją i parzą wityroilejem złośliwości przemysłowej, skutecznej. Niektóre z piosenek, jak o „Stefanii”, zyskały sobie nawet prawo obyczajowego obywatelstwa wśród szerokich już warstw społecznych, wytrzymując zwycięsko krytykę górnych dziesięciu tysięcy inteligencji polskiej, która nie grzeszy wcale zrozumieniem humoru. „Słówka” Boy'a w czas smutnych doświadczeń wojennych czyta się z miłym rozzerwieniem: tak bowiem wyglądała w karykaturze Polska przedwojenna. Wyglądała niepociągająco — ale zarzucić jej nie można beztrojski, choć Boy usiłuje w piosence beztrojskiej wyśpiewać wszystkie jej grzechy sodomskie.

Kwartalnik prawa cywilnego.

W zeszycie trzecim „Kwartalnika prawa cywilnego i handlowego”, który wychodzi pod redakcją adw. przysięgłego J. J. Litauera, znajdujemy znów cały szereg interesujących prac, które wskazują, że redakcyja umie utrzymać wysoki poziom naukowy, a jednocześnie też daje możność poważnego omówienia spraw fachowych, aktualnych. Do kwestyi, które interesują z punktu widzenia chwili bieżącej, należy przegląd piśmiennictwa prawniczego i przegląd prawodawstwa oraz orzecznictwa sądowego. P. J. J. Litauer krytycznie oświetla pracę p. T. Fr. Grodyńskiego p. t. „Międzynarodowe prawo prywatne na tle stosunków między dzielnicami Polski”. Rzecz ta jest bardzo ciekawa i w następstwach praktycznych, może przynieść błogie owoce. P. Jak. Glass wyjaśnia „dekret rządu okupacyjnego o zgłaszaniu majątku poddanych państw nieprzyjacielskich”.

Dobrze też uczyniła redakcyja, wydrukowując pracę prof. Władysława Holewińskiego p. t. „Kartka z dziejów rewizyi Kodeksu Napoleona”. Dla młodszych prawników rzecz ta ma dużą wartość orientacyjną. Oryginalną w ujęciu pracę zamieścił też p. Czesław Poznański p. t. „Dwa zagadnienia z zakresu prawa akcyjnego: wnioski rzeczowe i wynagrodzenie założycieli”. Tematy bardziej skomplikowane obejmują prace pp. Litauera: „Własność podzielona w oświetleniu źródeł urzędowych polskich” i Polaka: „O umowie komisowej”. Wogóle trzeci zeszyt „Kwartalnika prawa cywilnego i handlowego” przedstawia się interesująco i może mieć wpływ dodatni na rozwój naszego prawoznawstwa.